



KAZIMIERZ RAWICKI

7 listopada 1945 r. w Warszawie sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrał od niego przysięgę, poczym świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Kazimierz Rawicki
Wiek	53 lata
Imiona rodziców	Franciszek i Marianna
Miejsce zamieszkania	Wawer, ul. Jabłeczna 4
Zajęcie	pracownik Gazowni Miejskiej
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

Od lipca 1939 do września 1941 roku byłem sołtysem osiedla Nowy Wawer gminy Wawer pow. warszawskiego. Dnia 27 grudnia 1939 wyszedłem z domu i udałem się w kierunku stacji Wawer kolejki wąskotorowej, zamierzałem jechać do Warszawy. Szedłem drogą prowadzącą przez plac, na którym – jak dowiedziałem się później – odbyła się egzekucja. Nie dochodząc do niego, gdy byłem w odległości około 50 metrów od placu, zostałem zatrzymany przez jakiegoś Niemca w uniformie (było jeszcze ciemno, tak że nie mogłem zorientować się, czy był to żołnierz, czy SS-mann), który kazał mi zatrzymać się. Poszedłem więc inną drogą w kierunku stacji Wawer, lecz nie dochodząc do rogu ulicy Rubinowej i Widocznej zostałem znowu zatrzymany przez żołnierzy, którzy mnie zrewidowali i kazali wrócić się. Poszedłem więc z powrotem i nie wiedząc, gdzie mam pójść i co mam robić, wstąpiłem do znajomego Łukowskiego (imienia jego nie znam), który miał dom przy ulicy Krótkiej. Obecnie tego domu już nie ma, spalił się na początku czy też na wiosnę 1945.

Łukowskiego od roku 1941 nie widziałem. Był to Żyd, co się z nim stało, nie wiem.

Gdy zapukałem do drzwi Łukowskiego, to nikt mi nie odpowiedział. Spróbowałem otworzyć, drzwi okazały się otwarte, więc wszedłem. Ku swemu zdumieniu zobaczyłem, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Poszedłem na piętro, lecz okazało się, że i tam nie ma nikogo z mieszkańców. Zatrzymałem się wówczas na klatce schodowej przy oknie, które wychodziło na plac, na którym odbyła się egzekucja. O godzinie 6.05 (patrzyłem na zegarek) zobaczyłem, że świecą reflektory, bezpośrednio zaś potem [usłyszałem] serię strzałów z karabinu maszynowego, następnie zaś po pewnej przerwie strzały pojedyncze. Tak powtórzyło się jeszcze kilka razy, serie z karabinu maszynowego i następnie strzały pojedyncze. Trwało to może pół godziny.

Gdy wszystko ucichło, udałem się do Piegata, fryzjera. Gdy udałem się do jego mieszkania, to Piegata w domu nie było. Jego żona wyjaśniła mi, że Piegata i jego subiekta zabrali w nocy Niemcy. W tym momencie przybiegł Feliks Stryjewski, który powiedział, że przed chwilą jego syna wraz z innymi zastrzelili Niemcy. Gdy dowiedziałem się o tym, pobiegłem na plac egzekucji.

Na placu (już się rozwidniło, choć słońce jeszcze nie wzeszło) zobaczyłem wiele grup ciał. Wśród tych zwłok zauważyłem parę osób rannych, dających jeszcze oznaki życia, lecz była to już agonía. Na placu tym (położonym w pobliżu miejsca, gdzie obecnie stoi krzyż) Niemców nie było już. Widziałem tam tylko jakąś kobietę (nie pamiętam, która to była), która strasznie rozpaczała, mówiąc, że zabili jej męża.

Udałem się do zarządu gminy, gdzie zastałem wójta Stanisława Krupkę, który mi powiedział, że Niemcy kazali, aby do godziny 12.00 pochować wszystkich rozstrzelanych, że nie wolno zabierać zwłok z tego miejsca, że wszyscy muszą być pochowani na placu egzekucji, i że jeśli ten rozkaz nie zostanie w terminie wykonany, to Niemcy rozstrzelają jeszcze 20 osób.

Zlecenie pochówku zostało mi wydane (jako sołtysowi) przez Krupkę. Udałem się więc do Arbeitsamtu z prośbą o przydział ludzi, o oskardy i tragi. Pomoc tę otrzymałem i z robotnikami udałem się na miejsce egzekucji. Wykopaliśmy sześć dużych rowów i w rowach tych układaliśmy zwłoki, przykrywając twarze, czym można było (a więc ubranie lub prześcieradłami, które przynosiły kobiety). Przed pogrzebem wyjmowałem z kieszeni zabitych dokumenty, aby potem gminny komisarz spisał nazwiska zabitych według dokumentów (zaznaczam, że wszystkie akta gminy spaliły się w 1944 r. na jesieni na

wskutek działań wojennych). Obecny przy tym był także policjant z posterunku wawerskiego Paciorkowski. Ogółem pogrzebaliśmy tam 108 osób. Nadmieniam, że w tej liczbie był także i właściciel kawiarni Bartoszek czy Bartoszczak (nie wiem, jak dokładnie brzmiało jego nazwisko), ten powieszony nad drzwiami wejściowymi jego kawiarni na rogu Widocznej i Rubinowej – zdjeliśmy go z haka.

Gdy Niemcy zobaczyli, że pochowaliśmy go, to kazali wydostać zwłoki z ziemi i powiesić z powrotem. To już wykonała policja polska następnego dnia. Zwłoki te wisiały potem jeszcze dwa dni, na piersiach zaś była umieszczona tablica z ostrzeżeniem, że kto zwłoki zdejmie, zostanie rozstrzelany.

Kiedy i przez kogo zostały zdjęte z haka te zwłoki, nie wiem. 30 grudnia już ich wiszących nie widziałem. Pochowali go (nie wiem, kto) w tym samym grobie, skąd go wydostano.

Zaznaczam, że po pogrzebie, w pośpiechu, nie mogliśmy ustalić nazwisk wszystkich rozstrzelanych, przy niektórych nie znaleźliśmy dokumentów. Po ekshumacji, która była zdaje się w czerwcu czy w lipcu 1940 roku, niektóre z ciał zostały rozpoznane po ubraniu przez rodziny. Z tego, co słyszałem od ludzi, wśród rozstrzelanych znajdowali się tacy, którzy zostali zabrani przez Niemców ze stacji kolei szerokotorowej, gdzie oczekiwali na pociąg.

Zaznaczam, że ostatniej dziesiątki z zaaresztowanych 27 grudnia 1939 Niemcy nie rozstrzelali, kazali im tylko pogrzebać zabitych. W liczbie tych ocalałych byli m.in. Stanisław Krupka – wójt gminy Wawer, Chorosiewicz (imienia jego nie pamiętam), Feliks Stryjewski; nazwisk innych nie pamiętam.

Jak dowiedziałem się od policjanta Rozwadowskiego z posterunku wawerskiego (podobno on został zabity w 1944), 25 grudnia 1939 znani w Wawrze bandyci Dąbek (z Zastowa) i Prasula, zabili w Otwocku policjanta polskiego. W sprawie tej do policji wawerskiej 26 grudnia nadeszło telegraficzne zawiadomienie, że Dąbek i Prasula mogą znajdować się na terenie Wawra. Wówczas policja polska w Wawrze skontaktowała się z komendantem niemieckim w Aninie i w ten posłał z Rozwadowskim tych dwu żołnierzy niemieckich.

Jak opowiadała mi córka Bartoszka czy Bartoszczaka (powieszona przez Niemców), która miała widzieć przebieg wydarzeń w kawiarni, jeden z tych żołnierzy po wejściu do kawiarni, gdzie siedzieli Dąbek i Prasula, zamiast kazać im podnieść ręce do góry, zwrócił się do nich



z żądaniem okazania dokumentów, oni zaś zamiast dokumentów wyjęli rewolwery i oddali kilka strzałów, zabijając jednego żołnierza i raniąc drugiego. Rozwadowski zdążył uciec z kawiarni tylnymi drzwiami. Nie wiem, gdzie przebywają obecnie córki i żona Bartoszcza czy Bartoszczaka, w Wawrze one nie mieszkają.

Wszyscy rozstrzelani, których grzebaliśmy, mieli przeważnie rany w głowach, niektórzy mieli rany także w plecach.

Więcej nic nie mam do dodania.

Protokół odczytano.